

Ławeczka Józefa Barana (6)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

W czasach Związku Sowieckiego cerkwie zamieniono na „magazyny” i muzea, a duchownych wywożono na zsyłkę, między innymi na daleką wyspę Sołówkę. Co ciekawe, to właśnie na Syberii rozkwitały potajemnie różne kultury szamańskie, a więc okazało się, że walka z religią i wiarą miała charakter powierzchniowy, bo choć zduszone instytucję cerkwi, to nie udało się zważyć do końca uczuć religijnych, które teraz odżywają w kolejnych pokoleniach.

Nasz przyjaciel tłumacz Andriej Bazylewski – sprawca przyjazdu – twierdzi, że zmartwychwstanie cerkwi i zwrócenie się w jej stronę starych i młodych ludzi ma związek z kryzysem ekonomicznym i moralnym. Ja upierałbym się przy twierdzeniu, że Rosjanie jako naród uduchowiony, karmiący się uczuciami i namiętnościami, nie mogą się obyć bez silnej wiary – przedtem w komunę, teraz w popów. Tak mogą żyć, wyzbyci wewnętrznego żaru duchowego, rozsądni i pragmatyczni Holendrzy, którzy za to umieją i perfekcyjnie zorganizować państwo i na tym się skupiają. Ale Rosjanie? Rosjanie nie.

Nawet refleksyjny i stonowany poeta z bródką Witalij Kuprianow, rodzynek intelektualny wśród poetów rosyjskich, prawie śpiewających swoje wiersze – daje się wodzić za rękę po cerkwi swojej przytuszanej „żeńszczyźnie” – zapala posłusznie świeczki, od czasu do czasu żegna się potrojnym krzyżem, choć czyni to z oporami, bo powstrzymuje go przed manifestacją uczuć religijnych jego wychłodzona natura.

Po nabożeństwie w monasterze – skromny poczęstunek i rozmowa z metropolitą „Obłasti Twerskiej”, siwym człowiekiem o szlachetnych rysach twarzy, który zna nawet parę słów po polsku w rodzaju: „Proszę poczęstować mnie herbatą”, „Tfu, tfu! to ohyda! potworność” – bo w żyłach jego „dieduszki”

płynęło też trochę krwi polskiej i pamiętał te słowa z dzieciństwa.

Mimo wszystko odrodzenie po półwieczu cerkwi prawosławnej i przytłumionej, wydawałoby się, zduszonej religijności jest fenomenem na skalę światową. Zresztą nie tylko w monasterze w Twersze, dokąd zawożą nas – poetów z Rosji, Serbii, Chorwacji, Czarnej Góry, Słowacji, Macedonii, Czech, Polski – witanych po nabożeństwie w święto Cyryla i Metodego przez metropolitę. W Filharmonii w Twersze, gdzie odbywa się poetycko-muzyczno-taneczny koncert z przemówieniami – uroczystość otwiera również jakiś ważny pop ze złotym łańcuchem na szyi. I tak dalej...

Posadziliśmy w Twersze polskie drzewko obok drzewek: rosyjskiego, serbskiego, chorwackiego, czeskiego, słowackiego, ukraińskiego, czarnogórskiego, białoruskiego, macedońskiego... Czuliśmy się przy tym trochę głupio a trochę jednak z konieczności ważni, bo wycelowano w nas kilkanaście kamer telewizyjnych.

A na naszym wieczorze poetyckim w kawiarni pojawili się nawet... górale ze Szczawnicy...

W Rosji reprezentowaliśmy Kraków wraz z druhem poetą Adamem Ziemianninem...

Zostaliśmy ściągnięci przez naszego starego przyjaciela, z którym potrafiłem się „pięknie różnić”, a nie tylko zgadzać i to w czasach głębokiej komuny, jak i teraz, w okresie dzikiego kapitalizmu. Zastaliśmy go trochę innego, a trochę tego samego. W młodości był raczej liberałem, raczej ateistą, kochającym wszystko, co awangardowe, z Witkacym na czele – ulubionym pisarzem. Przetłumaczył prawie całą najważniejszą współczesną poezję polską i wydał ją w swojej prywatnej oficynie Wahazar, pragnąc zaszczepić do śpiewnej poezji radzieckiej wiersz biały, wymagający pewnego wysiłku przy odbiorze. Dziś zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni: chodzi o cerkwę, pisze wiersze rytmiczne i śpiewne, zaczyna chwalić w mojej liryce to, co kiedyś nie budziło w nim entuzjazmu, a co wynika z rodzimych korzeni i źródeł.

O ile przedtem zarzucałem mu, że pragnąc wypędzić z rosyjskiej liryki ducha śpiewności, uczuciowości, rytmu i rytmu, chce wylać dziecko z kąpielą, teraz nie zawsze przypadają mi do gustu jego poetyckie „duszaszczypiatelnyje” samograjki. Zresztą, nie umiem ich w pełni ocenić, bo rosyjski znam w stopniu podstawowym.

A poza tym... przyjaciół należy odbierać z całym dobrodziejstwem inwentarza, a Andriusza i jego żona Irina są po staremu serdeczni, kochani, ugościli nas na ulicy Cziczerina czymś chata bogata – kwasem chlebowym, serbską rakiją, winem, chlebem z czarnuszką i innymi łakociami. „Na temat polityki rozwodzimy się niemnożko”, zgadzając, że zarówno Putin, jak i nasi politycy, nie są tego warci, tym bardziej, że nasza przyjaźń z Andriejem zasada się wspólnej pasji: poezji.

Poza tym zwyczajni ludzie są do siebie wszędzie podobni, chcą zwyczajnie żyć i i gdyby nie mącili im w głowie ideolodzy i politycy, to pewnie jakoś by się ze sobą dogadali. Rosjanie mają podobne co my weekendowe upodobania, ot choćby rodzinne piknikowanie... Uzmysławiam to sobie, gdy wybieram się w Moskwie na samotny spacer po okolicznym parku-lasku ze stawkami i stanowiskami na ruszty. Uliczka Szmaragdowa, rzeczywiście umajona zielenią i kwiatami, śpiewem ptaków i kwakaniem kaczek. Niby centrum dziesięciomilionowej metropolii, a tu biesiadowanie, ogniska, pieczenie na ruszcie barana, prosiaka, gęsi...

Siedzą, gawędzą ze sobą na leżakach całymi rodzinami, przepijają do siebie piwem, winem, wódką, sokiem, herbatą. Niektórzy o skośnych oczach i azjatyckich rysach, bo Moskwa, podobnie jak Nowy Jork to zbiegowisko ludzi różnych ras. Czy potrzeba im do szczęścia wojny, konfliktów? Dzieci baraszkują na trawie, psy zziązane biegają w te i we wte, kobiety krajają chleb i rozdają porcje na papierowych tackach.

Niby obcy mi, a w tej chwili, gdy ich mijam, wydają się osobliwie bliscy i swojscy.

Dla mnie z wyostrzonym zmysłem powonienia czymś narzucającym się był zapach wynikający z niezbyt chyba częstego używania dezodorantów. Co prawda i u nas krytyk filmowy Zygmunt Kałużyński był orędownikiem nie za częstego mycia się, żeby nie zedrzyć flory bakteryjnej ze skóry, ale Kałużyński u nas zdarzył się jeden, a tu na koncertach, w przepelnionych salach Kałużyńskich mnóstwo... Może w ogóle tym różni się Zachód od Wschodu, że w krajach zachodnich pachnie nawet w toaletach, gdy na Wschodzie w filharmonii (nie wspominając o dawnych polskich autobusach komunikacji miejskiej) czuć co prawda naturalną, ale niezbyt miłą woń ludzkiego potu?

Drugie spostrzeżenie. Moskwa niczym nie różni się od wielkich miast europejskich, zarówno pod względem nowoczesnych rozwiązań architektonicznych, jak i dzięki dobrze funkcjonującemu metru.

Na dwu Moskwiczank czytających książki w przedziale metra przypada czterech czytających e-booki czy ajpody. Gdy zaś płynie się rzeką Moskwą, można zachwycać się nie tylko kopułami cerkwi złocącymi się w słońcu i zabytkami, ale i nowoczesnymi hotelami, wysokościami na miarę tych z Nowego Jorku czy Singapuru.

Ale już w głębi Rosji (Twers, Rzew) autobusy i trolejbusy wyglądają jak wychudzone, zziązane psy z zapadniętymi bokami: odrapanie, skorodowane...

cdn.

